

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 9 października 1915. Nr. 41.

Z oswobodzonego Królestwa Pol.







Święto Jędrzejowa: 1) Główny ołtarz w kościele O. O. Cystersów w Jędrzejowie. 2) Ołtarz z relikwiami bł. Wincentego Kadłubka 3) Komenda Legionów polskich w Jędrzejowie. 4) Fragment ogrodu O. O. Cystersów, gdzie Kadłubek pisał swą „Kronikę". 5) Rynek w Jędrzejowie.

Z oswobodzonego Królestwa Polskiego.

W tych częściach Królestwa Polskiego, które po wypędzeniu Rosyan znalazły się pod zarządem władz austro-węgierskich, coraz bujniej zaczyna się rozwijać życie narodowe. Odbywają się tam obchody i uroczystości patryotyczne, dawniej srogo prześladowane przez władze rosyjskie, a dziś urządzane jawnie przez Legionistów i miejscową ludność. W szeregu tych uroczystości narodowych, które ludność Królestwa Polskiego wita zawsze z entuzyazmem i zapałem — odbędzie się niebawem, w drugą niedzielę października, uroczysty obchód w Jędrzejowie. Jest to dzień wielkiego święta nie tylko dla jędrzejowskich okolic i Jędrzejowa samego, ale dla całej Polski, bo przypomina w literaturze człowieka niepośledniej miary, jakim jest bł. Wincenty Kadłubek, który żył i pisał słynną „Kronikę" w Jędrzejowie, gdzie szczątki jego po dzień dzisiejszy spoczywają w ołtarzu.

Jędrzejów dziś oddycha swobodą i tchnieniem



Z oswobodzonego Królestwa Polskiego: Procesya ku czci bł. Wincentego Kadłubka w Jędrzejowie.

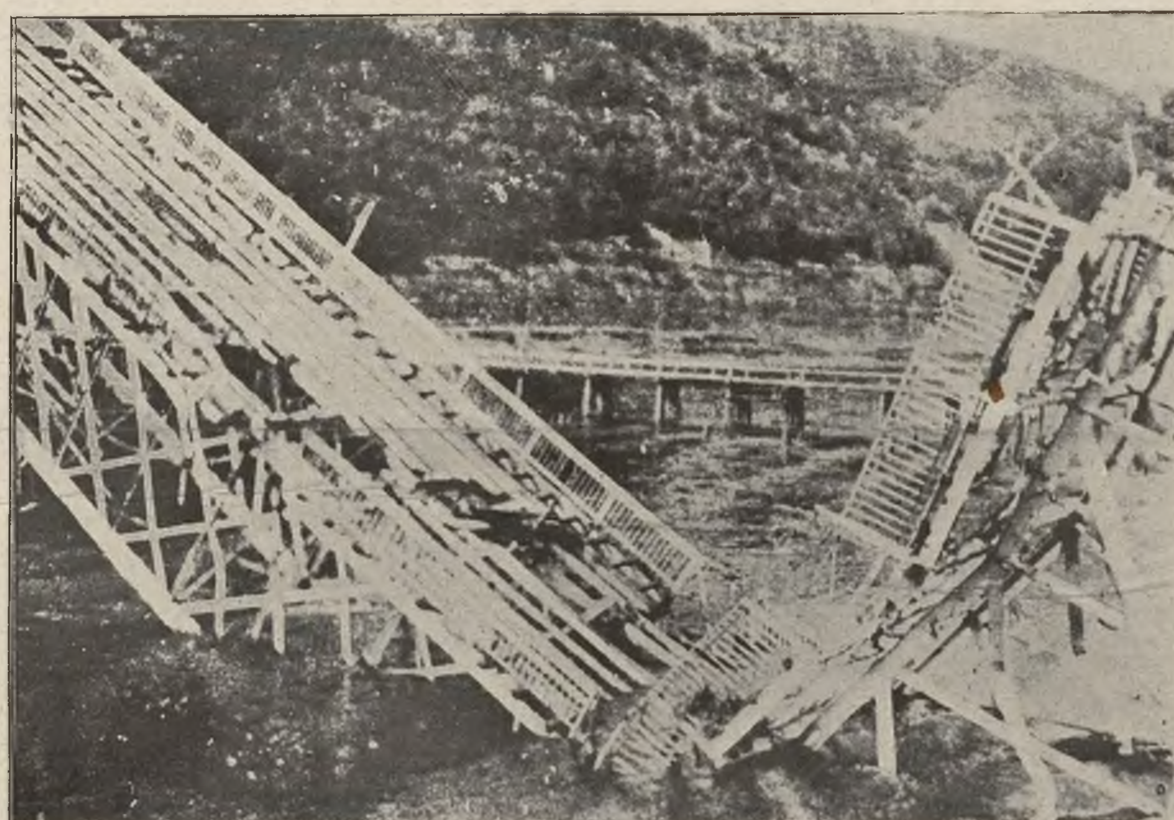
polskości, nie skutej przez łańcuch rosyjskiego ucisku. I oto powstaje tam Liga pań, która ma za zadanie nieść pomoc sierotom i wdowom po Legionistach, urządza też w tym celu koncerty, przedstawienia i t. d., z których dochody przeznacza na rodziny tych, co zdrowie i życie oddali w walce o lepszą przyszłość narodu.

Staraniem Ligi kobiet odbył się też w Jędrzejowie odczyt Legionisty Stefana Gralewskiego o Wincentym Kadłubku i jego znaczeniu dla Polski. Wogóle należy tu zaznaczyć, że Legiony na terenie Królestwa Polskiego nie tylko walczą z wrogiem, ale idą również w lud, aby nieść światło i gorące uczucie patryotycznym tym sferom, które rządy rosyjskie starały się otoczyć murem ciemnoty... Taki też cel patryotyczny będzie miał niewątpliwie obchód, który odbędzie się w Jędrzejowie w najbliższą niedzielę.

Za szczupłe są ramy naszego czasopisma, by dać dokładny obraz działalności bł. Wincentego Kadłubka. Wystarczy zaznaczyć, że literatura polska ma mu do zawdzięczenia Kronikę, która jest jedną z pierwszych w dziejach Polski, Kościół zaś wśród innych zasłużonych postaci uznał go za błogosławionego.



Z polskich pobojowisk: Zwłoki poległych na pozycyi.



Z polskich pobojowisk: Zburzony most w Królestwie Polskiem.

Z polskich pobojowisk.

Z wyjątkiem Poznańskiego, przez wszystkie ziemie polskie przeszedł huragan wojenny. Zarówno Królestwo Polskie, jak i prawie cała Galicya były



Z polskich pobojowisk: Groby żołnierzy rosyjskich, usypane przez wojska niemieckie

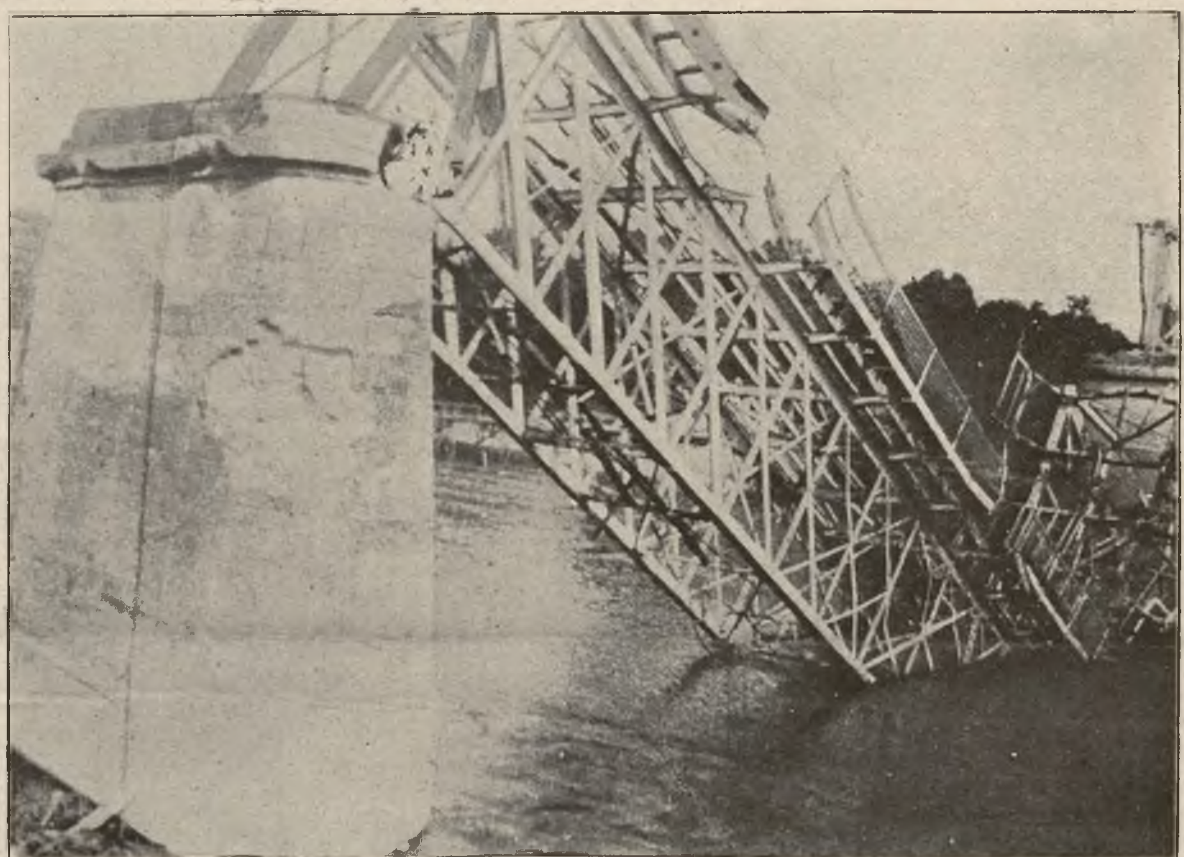


Z polskich pobojowisk: Żebrak na starem stanowisku obok zburzonej pociskiem figury.





Patrol sanitarna wyekwipowana noszami-taczkami. **Wynalazcy w Legionie:** Nosze-taczki używane jako nosze.



Z polskich pobojowisk: Szczątki zburzonego mostu w Królestwie Polskiem.



Wynalazcy w Legion'e: Dr. Edward Loth, wynalazca noszów-taczek.

Prócz tej fotografii zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg innych zdjęć, illustrujących żniwo wojenne na ziemiach polskich.

Wynalazcy w Legionie.

Potrzeba rodzi wynalazki, wojna dzisiejsza otwarła przeto szerokie pole wynalazcom i konstruktorom, oblekającym pomysły swe w formę praktyczną i konkretną teraz już nie w zaciszu pracowni, ale wprost na placu boju. W dniach ostatnich do tej liczby wynalazców udoskonalających środki współczesnej techniki wojennej, przybył także Legionista, dr. Edw. Loth, docent Wszechnicy lwowskiej, obecie lekarz pułkowy w trzecim pułku II. brygady Legionów,

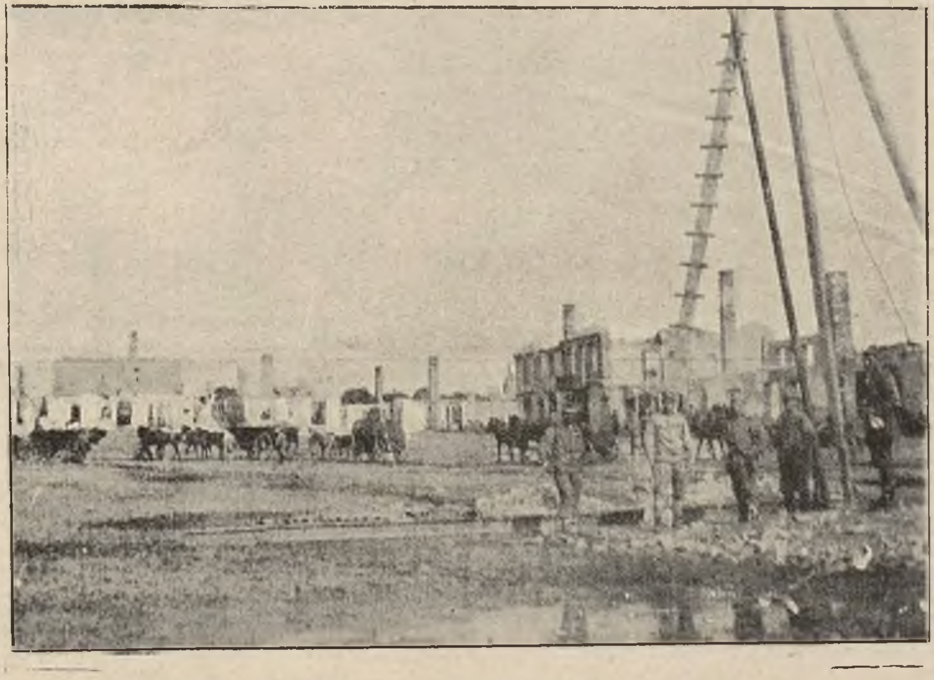


Wymiana inwalidów: Ciężko ranni po opuszczeniu okrętu w Sassnitz.

który wynalazkiem swym rozwinął znacznie problem transportowania rannych w polu. Do celu tego służą, jak wiadomo, nosze dźwigane przez dwóch sanitaryuszy. W walkach obecnej wojny okazało się jednak, że ten sposób transportu przechodzi siły sanitaryuszy, zmuszonych dźwigać rannych — i to



Wynalazcy w Legionie: Nosze-taczki w użyciu (Fot. chor Rudke).



Z polskich pobojowisk: Rynek w Józefowie nad Wisłą

często — nieraz na odległość kilku kilometrów. By zadanie to ułatwić, dr. Loth posunął się o krok dalej, dodał do istniejących już noszy dwa kółka, które jednym ruchem ręki w paru sekundach odjąć lub przyprawić można.

Koncert dla rannych Legionistów.

Kobiety polskie w czasach walk i wydarzeń dziejowych starają się na polu sztuki i umiejętności pocieszać rannych i uprzyjemniać chwile spędzone w naszym mieście tym, którzy mają powrócić na plac boju. Dnia 1. października b. r. odbył się pod artystycznym kierunkiem pani Ludwiki Grodzickiej jeden z licznych przez nią podczas wojny urządzanych koncertów dla rannych i rekonwalescentów. Za inicyatywą pani Wandy Jawornickiej w pięknie przystrojonej sali Bursy akademickiej zebrało się liczne grono słuchaczy. Pani Kałużyńska Freege, artystka dramatyczna, deklamowała pięknie poezye, dostosowane do obecnej chwili. Arye i pieśni Zeleńskiego, Moniuszki i Noskowskiego przepięknie odśpiewali panna Helena Kramarczykówna i pan Władysław Grodzicki. Grą skrzypcową czarowała słuchaczy panna Stanisława Capówna, a na fortepianie z uczuciem i techniką grały pp. Grodzicka i Gebauerówna. Na zakończenie odśpiewano pieśni polskie, a Legioniści, w imieniu których zarząd szpitala w gorących słowach dziękował organizatorkom koncertu, żegnali gości pieśniami wojennemi.

Wymiana inwalidów.

Takim objawem humanitarnym jest porozumienie pomiędzy walczącemi państwami co do wymiany jeńców-inwalidów. Stracili oni w wojnie zdrowie, stali się na całe życie kalekami, niezdolnymi już do dalszej walki, więc trzymanie ich w niewoli, wśród obcych i na obcej ziemi, zdala od rodzin, byłoby już tylko bezcelowem okrucieństwem, nie mającem żadnego wpływu na przebieg i wynik wojny. To też wojujące mocarstwa, za pośrednictwem państw neutralnych, rozpoczęły już wzajemną wymianę tych nieszczęśliwych ofiar wojny.

Dziwo natury.

Na terenie niedawnych walk nad rzeką Białą w okolicy Tarnowa w miejscowości Ciężkowice (między Bobową a Gromnikiem) znajduje się ciekawe dziwo natury w postaci skały, znanej w okolicy całej pod nazwą „Czarownicy“.

Jest to cypel skalny, mający już na pierwszy rzut oka kształty twarzy wcale nie sympatycznej i nie młodej już niewiasty, ponieważ zaś tak sobie zwykle przedstawiamy lokatorki Łysej góry, nic też dziwnego, że lud okoliczny nadał jej taką nazwę.



Koncert dla rannych Legionistów: Grupa słuchaczy i wykonawców na dziedzińcu Bursy akademickiej.

JÓZEF LASOŃ.

HEJ, KTO POLAK...

Z CYKLU: NASI UŁANI.

(Obrazek z 1915 roku).

3

Noc zapadła.

Po zabudowaniach dworskich kręciło się jeszcze kilkunastu żołnierzy rosyjskich, którzy pozostali, aby módz zabrać sobie co na pamiątkę. Strzały toczącej się walki rozlegały się w powietrzu.

Ciotka Albina, na werandzie stojąc, pilnowała wejścia do dworu, gdyż pozostali Moskale objawiali chęć „pożegnania" się z dworem.

Kilku z nich podeszło do werandy.

— Co chcecie jeszcze! Wynoście się za armią, inaczej źle będzie z wami!

— My chotieli proszczatsia!

— Z czortem się idźcie żegnać i witać, nie z nami! — wymyślała im ciotka, wygrażając pięścią.

— Z Bohom!

— A połamcie kości, złodzieje, za moje kury i gęsi!

Z pod szynela jednego sołdata zagęgała gęś. Ciotka Albina dalejże do kozaka, wołając:

— Złodzieju, oddaj gęś!

Ale sołdat zaśmiał się szyderczo, przerzucił gęś pod pachę i dał drapaka. Próżno ciotka Albina krzyczała w niebogłosy, kozak wraz z gęsią zniknął w gęstwinie leśnej.

Deszcz padał bezustannie, burza się nocą rozszalała.

Pomimo późnej nocy we dworze wszyscy czuwali. Ciotka Albina skończywszy szeptem odmawiać litanię, półgłosem liczyła szkody wyrządzone w gospodarstwie.

— Przeszło trzydzieści sztuk gęsi szelmy ukradli, kury prawie że wszystkie wyłapali, bodaj ich... o święty Antoni i ty święty Michale...

Olga i Jadzia, przytulone do siebie, szeptały, nadsłuchując z trwogą wystrzałów, od czasu do czasu padających. Zbigniew z ojcem stali przy oknie i mając dobry widok, wpatrywali się w otoczenie dworskie.

Ucichły wreszcie odgłosy walk, równocześnie też i burza przechodziła. Zajaśniało jeszcze parę błyskawic na niebie, przeciągły grzmot chmur zawtórował, przy którym żegnali się pobożnie obecni i burza przesunęła się ponad okolicą.

— Od pioruna, ognia, głodu i wojny ocal nas Panie! — szeptały zwiędłe usta starej ciotki, drzemiącej na kanapce.

— Ocal nas Panie! — szeptali za nią.

Znużenie poczęło ogarniać ich powoli. Zbigniew stołek przysunął do okna, podparł głowę na dłoniach i usnął, na framugę okna przechyliwszy głowę. Ojciec usiadł obok śpiących już córek, i usnął natychmiast. Ciotka Albina, drzemiąc na kanapce, za każdem przechyleniem głowy przebudzała się, sennie szepcząc:

— Od ognia, złodziei, o święty Michale i ty Antoni, ocal nas Panie! Magda... wodę... zagotuj...

Szarzeć już na dworze poczęło i pierwsze odblaski słońca z za chmur wyjrzały, gdy silne pukanie, w bramę dworu, zbudziło mieszkańców. Pierwsza zbudziła się ciotka i przecierając oczy, poczęła rozglądać się wokoło.

— Hej tam! — odezwał się rubaszny głos z dołu— otworzyć drzwi!

— Zbisiu! Zbisiu! — krzyknęła ciotka.

Zerwali się wszyscy na nogi. Córki, zgarniając rozrzucone w nieładzie włosy, przestraszonymi oczami patrzeć poczęły na ciotkę.

— Hej tam otworzyć! — rozległ się powtórnie donośny głos.

Zbigniew roztworzył okno i wyjrzał na podwórze. Przed bramą stało kilku jeźdźców w siwych mundurach, z czerwonymi rabatami, z wysokiemi czakami, na których błyszczał duży, blaszany orzeł polski, pomalowany na biało. Kurtki zuchowato przewieszone przez ramię, przy boku tęga szablica, karabin przez plecy, sznury od kurtki niebieskiej również przez ramię przerzucone.

— Nasi! — radośnie krzyknął Zbigniew.

— Co za nasi? — spytały ciekawie panny, wystawiając czemprędzej roztrzepotane główki.

Dojrzało chytre oko ułańskie ładne główki panien i w mig poczęli słać całusy. Zawstydzone panny, rumieńcem wstydu twarz ozdobiwszy, pospiesznie cofnęły się z pod okna, z krzykiem uciekając do swego pokoju.

— Nasi, nasi! — szeptały radośnie — A przystojni chłopcy!

Ciotka pospiesznie naciągła pantofle i skoczyła co żywo na dół, aby powitać porannych gości.

Zbigniew już był przy nich, serdecznie witając, tak jak gdyby oddawna się znali. Ciotka Albina z gracyą wystąpiwszy na werandę, prawić poczęła serdeczną przemowę do ułanów, przywiązujących konie do płotu.

Wachmistrz czule pocałował w rękę ciotkę Albinę, podziękował za słowo wstępne, poczem wesoło zawołał:

— A teraz, pani dobrodziejko, daj, na Boga, co zjeść, a żzwo, bo z głodu umieramy, a pana, panie Czabarski, proszę na rozmowę.

— O święty Michale, co za eleganty! O szelma Magda, wstawaj, ogień rozpalić, kawę gotować! Kasper przynieśno koniaku z piwnicy, a i wędliny!

Ciotka pospieszyła do kuchni, ułani zaś przeszli do pokoju, gdzie na wstępie wachmistrz zaznaczył:

— Panie obywatelu, kwatera dla nas na dzisiejszy dzień!

— Wszystkie pokoje stoją otworem.

Ułani zbierać poczęli informacye o sile nieprzyjacielskiej, poczem wachmistrz wysłał trzech z nich na patrol, z resztą zaś pozostał we dworze.

Panny na gwałt się zbierając chichotały, pragnąc jak najprędzej poznać ułanów.

— Ja już gotowam, idę! — rzekła Olga.

— Ależ czekaj! Czekaj na mnie!

— Hola panny! — wesoło zawołał z kurytarza Zbigniew. — Nasi ułani chcą poznać waćpanny. Wstyd tak długo się ubierać!

— Już idziemy, kochany braciszku! Już!

Ale to już trwało dobrą chwilę, przez którą ułani zdołali zjeść śniadanie, pożegnać się z Czabarskimi, pannom ukłony posłać i na konie wsiąść, gdyż służba pierwsza.

Panny wyjrzały przez okno, kwiatów kilka rzuciły im na pożegnanie, które oni w lot pochwycili i wzamian, zasalutowawszy ostro, całusa rozpromienionym pannom posłali.

— Przez ciebie ja nie poszłam.

— Moja kochana, cóż ja winna.

— Mogłaś mnie nie zatrzymywać!

— Sama jakżebym poszła?

— A ja sama chciałam!

— Wiem! Ale ładny chłopiec?

— Całusa ci posłał!

— Nie mnie, tobie całusa posłał!

— Dobrzem widziała.

— Ładnie siostrzyczki, ładnie! — wchodząc Zbigniew na pół gniewnie mówił. — Czekamy i czekamy, a siostrzyczki nic! Guzdralskie... pfe...

— Przebacz, braciszku, ale powiedz, czy oni jeszcze przyjadą?

— Jak sądzisz?

— Serduszko mi mówi, że przyjadą!

— A tobie, Jadziu?

— Mnie serduszko puka, że przyjadą!

— No to dobrze wam puka, ale pamiętajcie, guzdralskie — upominał Zbigniew — że czekać na was nie będziemy!

— A kiedy, braciszku?

— Dziś wieczór.

— Oj, jak to dobrze! Weźmiemy ich do niewoli!

— Uważajcie, aby wasze serduszka nie dostały się do nich do niewoli — roześmiał się Zbigniew — bo to, co polski ułan, to każdy bałamut.

— — — — — — — — — — — — — —

Pod wieczór, kiedy zapanował całkowicie spokój, powróciło chłopstwo z lasu, wioząc swe ruchomości na podjazdach rosyjskich, ciesząc się niezmiernie z ocalenia i zdobycia koni, które im tak do gospodarstwa niezbędne były.

Pożar całkowicie ugaszono i oprócz kilku spalonych stodół, na szczęście pustych jeszcze, nic nie uległo zniszczeniu. Wprawdzie Moskale zdołali zabrać z chat gdzieniegdzie na dnie skrzyni schowane, a przez długie lata oszczędzane grosze, nie mąciło to jednak ogólnej wesołości, jaka we wsi zapanowała.

Wiedzieli już o ułanach, którzy do dworu przyszli, spodziewali się więc lada chwila nadejścia większych sił armii. Chłopcy wiejscy nieustannie wybiegali na krańce wsi, aby nadchodzące wojska mo gli powitać.

We dworze również wesołość zapanowała dawno niewidziana, połączona z bieganiną i krzątaniną. Ciotka Albina, chodząc koło gospodarstwa, anielską dobrocią tego dnia każdego ujmowała.

Zdziwiła się Magda, kiedy niosąc butlę z konfiturami, przez przypadek, co, nawiasem mówiąc, dość często jej się przytrafiało, uderzyła o drzwi, rozbijając ją w drobne kawałki.

— Bój się Boga, Magdziu, uważaj! — łagodnie ciotka Albina napomniała i więcej nic.

Magda przygotowana była na srogie wymyślanie i pewną była, że już do wieczora w kuchni pokazać się nie będzie mogła, a tu pani ją tylko tak łagodnie napomniała. Otworzyła więc usta z podziwu i patrzeć poczęła raz na rozlane na ziemi konfitury, drugi raz na ciotkę Albinę.

— Cóż się, moja droga, tak patrzysz? Rozbiło się, to trudno, na drugi raz uważaj, a teraz trzeba powycierać podłogę i szkło sprzątnąć!

Zabrała się Magda żwawo do roboty, mrucząc pod nosem:

— Cóż się to naszej pani stało! Wydziwić się nie mogę! Jakoś się odmieniła, jak anioł słodziutka!

Panny, dowiedziawszy się, że ułani będą tej nocy na kwaterze, zajęły się przygotowaniem pościeli, kwiatów narwały, umajając pokój i stół w jadalni.

Pod wieczór zadudniły kopyta końskie na drodze wiodącej do wsi. Ludność wybiegła cała, witając nadjeżdżających. Ułani, przejeżdżając przez wieś, salutowali na prawo i lewo, dziękując ludności za szczere i serdeczne powitanie i zajechali przed dwór, gdzie, uprzedzone już przez chłopaków wiejskich, czekały panny z ciotką na czele.

Zobaczywszy panny, szarmancko zasalutowali, z koni w mig zeskoczyli i brzęcząc ostrogami, pospieszyli, aby ich powitać.

— Cześć obywatelkom! — zawołał czarny jak kruk wachmistrz, przedstawiając się pannom i ognistem spojrzeniem obejmując zaczerwienioną twarzyczkę Olgi.

Już i dwóch innych obskoczyło Jadzię, zasypując ją bez liku komplementami, aż wreszcie zniecierpliwiona ciotka, odetchnąwszy głęboko parę razy, rzekła:

— No, moście panny, proście miłych gości do pokoju, wszak po bitwie trzeba się posilić, pokrzepić i wypocząć.

— Prosimy! — rzekły równocześnie panny, dygnąwszy leciutko przed kawalerami.

— Cześć! Proszę dać przykład!

Panny ruszyły przodem, jeńców prowadząc za sobą, podczas gdy ciotka z Czabarskim stanowili straż tylnią.

Przy stole, obficie zaopatrzonym w przerozmaite przekąski i napoje, rozwiązały się na dobre języki. Ułani jęli prawić o bojach, zerkając oczyma w stronę panien i opowiadając długą historyę od chwili narodzin Legionu.

Nawet ciotka w milczeniu słuchała, rzadko kiedy wtrącając się i przerywając opowiadającym.

Staremu Czabarskiemu, gdy słuchał tych opowiadań, oczy świeciły się blaskiem, Zbigniew nerwowo zacierał ręce.

No, napijmy się, panie święty — przemówił Czabarski, wstając z krzesła — na pomyślność oręża polskiego, na uroczystą chwilę odrodzenia Ojczyzny!

Brzękły szklanice ze starym węgrzynem, wnet odpowiedział wachmistrz, zalotnie zwracając się w stronę Olgi:

— Ojczyźnie odrodzenie, a nam ładne panny! Cześć!

— Wiwat! — odpowiedzieli obecni.

Ktoś we drzwi zapukał.

— Proszę wejść! — zawołał Czabarski.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wchodząc do pokoju, Walenty pozdrowił.

— Na wieki wieków.

— Cóż tam, Walenty, słychać? — spytał dziedzic, wyciągając życzliwie dłoń.

Za Walentym weszło kilku gospodarzy, którzy przywitawszy się z obecnymi, wyczekująco stanęli. Walenty odetchnąwszy głęboko, zwrócił się w stronę ułanów:

— Przyszliśmy tutaj, wybrani przez gromadę chłopską, aby powitać wojsko

Ułani stanęli na baczność, Walenty siwe włosy przygładziwszy, witał ich, ciesząc się z chwili tak dla nich uroczystej.

Wachmistrz w kilku serdecznych słowach podziękował, chłopa za głowę ujął i siwy włos pocałował, wznosząc okrzyk:

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje wojsko

Zaproszono delegacyę do stołu, Czabarski krzyknął na służbę:

— Hej, Kasper, a przynieśno z piwnicy starego węgrzyna i miodu, a duchem, uroczystość dziś wielka dla nas!

(Dokończenie nastąpi).



Szlakiem bojowym „trzynastaków“: 8-ma kompania 13. p. p. przed wymarszem na pozycyę.

Szlakiem bojowym „trzynastaków“.

Gród Jagiellonów może być dumny z roli, jaką odgrywa w historyi wojny światowej. O dostojne mury Krakowa i wieniec jego niezwyciężonych fortów rozbiła się nawała rosyjska, która groziła niechybnym zalewem Galicyi zachodniej; z jego bram wyruszyły zastępy Legionów polskich, z niego wrecie wywodzi chwalebny swój ród jeden z najwaleczniejszych pułków armii austryackiej, po szarych, a nieśmiertelną sławą okrytych drużynach legionowych, najukochańsze nasze dzieci: pułk trzynasty.

Kto był świadkiem wymarszu „trzynastaków“ z Krakowa w sierpniu ubiegłego roku, kto widział owe masy różnorodnego kwiecia, jakiem zasypano oddziały podążających na dworzec kolejowy żołnierzy, kto słyszał czułe i troskiwe słowa pożegnania, życzenia „widzenia się“, żarty wesołe i szlochy, wreszcie kto uświadczył w oku niejednej matki lub siostry, żegnającej się z synem lub bratem, serdeczną łzę, a w oczach niejednej kochanki lub narzeczonej żal z powodu rozłąki z zuchowatym swym „Antkiem“ czy „Staszkiem“, ten momentu tego w życiu swem nie zapomni.

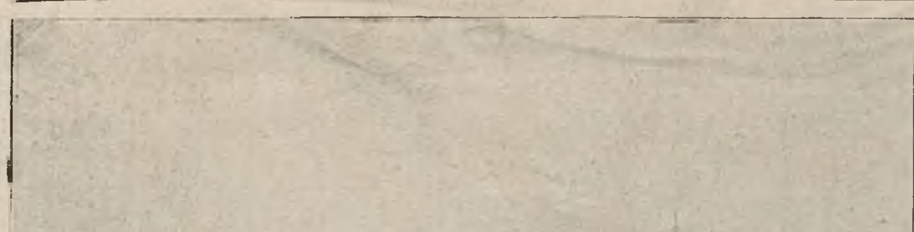
Długiem spojrzeniem i wesołymi okrzykami żegnali „trzynastacy“ ukochany swój Kraków, podążając na plac boju. W parę dni później przyjęli chrzest ognia, zdobywając sobie już za pierwszym występem rycerskie ostrogi i sławę nieustraszonych bojowników. Odtąd, gdzie należało rzucić najlepszego żołnierza, tam posyłano dzielnych „trzynastaków“. Nie brakło ich na polach Kraśnika, Lublina i pod Iwangrodem w ubiegłym roku podczas pierwszej ofenzywy austryackiej. W czasie ofenzywy rosyjskiej w Karpatach znalazł się tam wśród obrońców na pierwszem miejscu pułk trzynasty.

Niema szlaku bojowego na terenie wojny austryacko-rosyjskiej, któregoby „trzynastacy“ nie znali z krwawych i zaciętych walk. Byli wszędzie: nad Dunajcem i Nidą, Wisłą i Pilicą, Dniestrem i Prutem. Wszędzie znaczyli swe męstwo strugami krwi i ofiarami życia. Ale na wojnie różnie bywa. Więc i naszym „dzieciom krakowskim“ po dniach i tygodniach zaciętych bojów uśmiechnie się nadzieja odpoczynku i wytchnienia. Na jednej z zamieszczonych w niniejszym numerze fotografii widzimy, że nawet



Szlakiem bojowym „trzynastaków“: Pułkownik Damaszka w swej kwaterze polowej w dniu urodzin cesarskich.





Szlakiem bojowym „trzynastaków“:

Oficerowie i podoficerowie ósmej kompanii 13. p. p. za linią okopów.

Przed kwaterą sztabu 13. p. p. we Wschodniej Galicyi.



Szlakiem bojowym „trzynastaków": Ulubieniec 13 p. p. pułk. Damaszka w otoczeniu oficerów.



Legiony w polu: Na kwaterze pod gołem niebem.

chwili odpoczynku dzielni „trzynastacy" nie tracą na darmo, lecz „zdobywają" sobie serca nadobnych dziewcząt Już to w nich taki żołnierski duch, że zawsze coś „zdobywać" muszą.



Szlakiem bojowym „trzynastaków": Żołnierze 13 p. p. i ludność miejscowa w

A przytem nie zapominają o obowiązkach i przestrzegają ściśle tradycyi wojskowych. Dlatego, mimo najgorętszych walk, jakie wrzały w owym czasie pułk trzynasty obchodził uroczyście dzień urodzin cesarskich. Z przebiegu tej pięknej uroczystości żołnierskiej pomieszczamy w niniejszym numerze trzy fotografie, przedstawiające pułkownika Damaszkę, oczekującego w swym namiocie polowym w dniu urodzin cesarskich przybycia oficerów, następnie pułkownika już w otoczeniu oficerów i wreszcie szarże ósmej kompanii.



Za zasługi około pielęgnowania chorych: Udekorowane Siostry Miłosierdzia, zajęte w szpitalu garnizonowym nr. 15.

Ciężkimi bojami wypełniony, ale i chwilami wypoczynku przeplatany, żywot żołnierski pędzą nasi „trzynastacy". Czasowego swego dowódcę pułkownika Damaszkę pokochali z całego serca. Pułkownik Damaszka był dobrym, wyrozumiałym i dzielnym dowódcą. Przywiązał się do swych „trzynastaków" tak, że kiedy po szturmie na przyczółek mostowy odczytywał przed frontem najwyższe uznanie dowództwa armii dla 13. p. p., który trzykrotnie brał szturmem, głos drżał mu ze wzruszenia, a w oczach zaświeciły łzy z żalu za poległymi w tych krwawych szturmach żołnierzami i oficerami.

Takim to szlakiem zwycięskich bojów prowadzi pułk „dzieci krakowskich" Bóg wojny.





Legiony w polu: Odpoczynek w lesie.

Legiony w polu.

Nie czas jeszcze na pisanie historyi Legionów polskich, które od początku powstania aż do ostatniej chwili odgrywają wybitną rolę we wszystkich ważniejszych momentach obecnej kampanii. Dość tu przypomnieć pierwsze walki Legionistów w Kieleckiem na początku wojny, dalej pełne niebywałych trudów i bohaterskiego poświęcenia walki w Karpatach i na Bukowinie, które niewątpliwie będą stanowić specyalny chlubny rozdział w historyi zarówno Legionów, jak i obecnej wojny.

Wprawdzie nie spełniły się dotychczas gorące pragnienia Legionisów i całego społeczeństwa polskiego, aby zjednoczyły się wszystkie oddziały Legionów, walczące dotychczas w odosobnieniu, bo w Bessarabii pozostała jeszcze znaczna część Legionistów, ale w ostatniej ofenzywie, uwieńczonej wypędzeniem Rosyan z Królestwa Polskiego, brały udział wszystkie trzy brygady Legionów i w tych tytanicznych bojach okryły się nową sławą. Nie można jeszcze wyliczać i wymieniać bitew i walk, w których wybitną i chlubną odegrały rolę, zamieszczamy więc tylko w dzisiejszym numerze szereg dalszych zdjęć z tego ostatniego okresu działalności bojowej Legionów w Królestwie Polskiem.

Za zasługi około pielęgnowania chorych.

W czasie wojennym, gdy z każdym dniem prawie rośnie liczba rannych i chorych, ciężką też i odpowiedzialną jest służba tych, którzy z nimi mają najbliższą styczność, w szczególności zaś personalu lekarskiego, samarytańskiego i administracyjnego w szpitalach i zakładach leczniczych. A przyznać trzeba, że z zadania swego wywiązują się wszyscy znakomicie, z narażeniem często zdrowia, a nawet i życia, spiesząc na pomoc cierpiącym. Nagrodą za to jest wewnętrzne przeświadczenie każdego, że spełnił swój obowiązek, oraz wdzięczność chorych, którzy przyszedłszy do zdrowia, do końca życia nie zapomną o tych, którzy im szli z pomocą i pociechą.

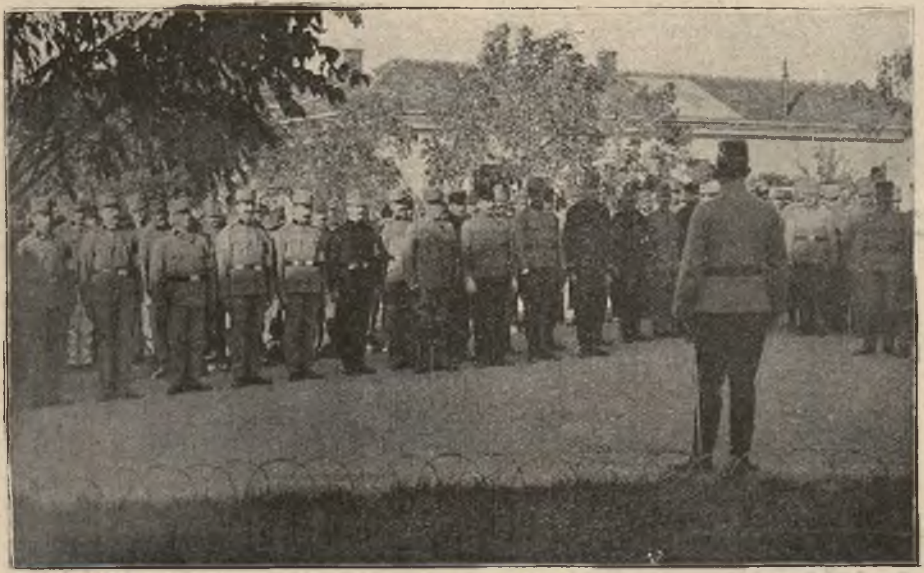
Pozatem istnieje specyalne odznaczenie za zasługi, położone około wojskowej opieki sanitarnej, pod postacią honorowej odznaki Czerwonego Krzyża, którą otrzymać może każda osoba, tak wojskowa, jak i cywilna, o ile w czemkolwiek przyczyniła się do tego prawdziwie zbożnego dzieła. Rozdawnictwo odznaczeń, których jest kilka stopni, stosownie do rangi i zasług odnośnej osobistości, spoczywa w rękach protektora Czerwonego Krzyża, arcyksięcia Franciszka Salwatora.

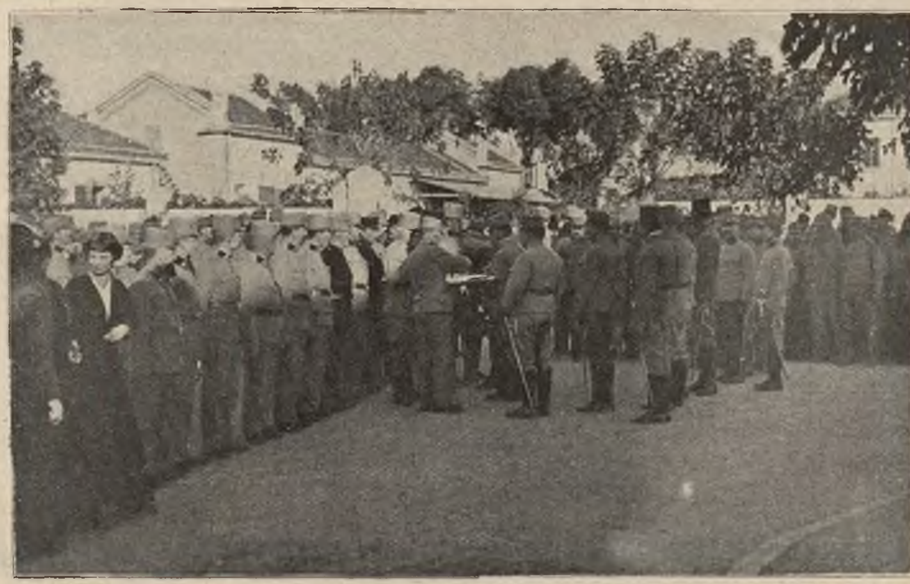
I niema prawie tygodnia, by dzienniki nie przyniosły wzmianki o odznaczeniu ludzi, którzy się na tem polu zasłużyli. Między nimi znajdujemy lekarzy, oficerów, personal samarytański, duchownych i świeckich, słowem, wszystkie sfery społeczne.

W ubiegłym tygodniu odbyła się w szpitalu garnizonowym krakowskim uroczystość wręczenia odznak honorowych Czerwonego Krzyże z dekoracyą wojenną całemu szeregowi osób, zajętych tamże. W szeregu stanęli lekarze, oficerowie, żołnierze sanitarni, pielęgniarki cywilne i zakonnice.

Do odznaczonych przemówił w serdecznych słowach niestrudzony komendant szpitala, starszy lekarz sztabowy, dr. Michl, a następnie ozdobił pierś każdego honorową odznaką, ewentualnie medalem Czerwonego Krzyża.

W uroczystości wziął udział cały personal lekarski i administracyjny szpitala oraz pacyenci, o ile pozwalał na to stan ich zdrowia.



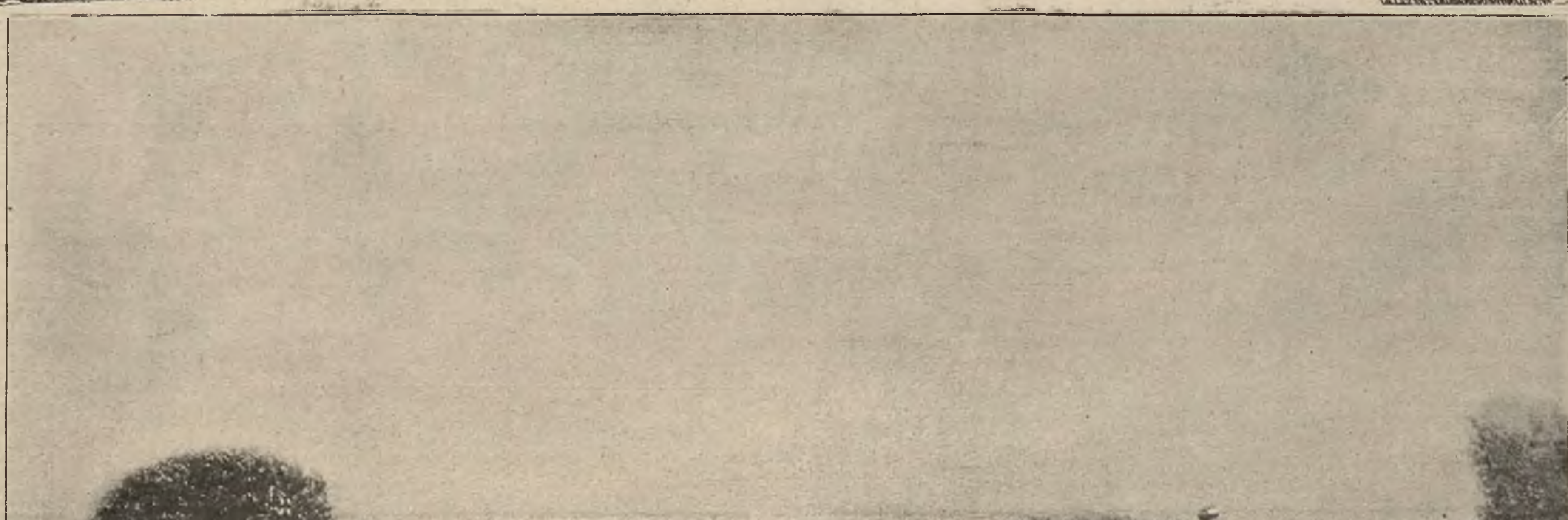


Za zasługi około pielęgnowania chorych: Przemówienie komendanta szpitala dra Michla do odznaczonych. Dekoracya kapitana Karola Wiesego.

Podhalanie w Legionach.

Zakopane, we wrześniu.

Rzadko urlopowani żołnierze drugiej brygady Legionów zjawiają się niekiedy w Zakopanem, które z szczególnem współczuciem śledzi jej dolę i niedolę. Wszak stąd wyszła najsławniejsza, pierwsza kompa-



Z walk w Polsce: Ustawianie ciężkiego działa na pozycyi.



Dekoracya p. Wilmy Schellenberg.



Za zasługi około pielęgnowania chorych: Udekorowani podoficerowie i żołnierze sanitarni.

nia trzeciego pułku i jej komendant, obecnie szef całego pułku, Henryk Minkiewicz.

Od jednego z żołnierzy tej „żelaznej gwardyi“



Podhalanie w Legionach: Odpoczynek pierwszej kompanii trzeciego pułku w rowie strzeleckim.

zakopańskiej otrzymałem pięć obrazków, którymi dzielę się z Wami. Oto najpierw — część pierwsza, kompania wypoczywa i zabawia się w rowie. Na drugim obrazku — ustawianie armatki, zwanej „kozą“, która dokuczała Moskalom, jak mogła.

Bardzo znamienne szczegóły życia poza frontem przedstawiają następne fotografie. W „Hotelu pod chochlą“ naprawiają garderobę trzej Podhalanie; wzgardzili obok stojącą chatą, bo wiosna nadeszła, im mniej przesłania im słońca, tem cieplej i weselej. Na czwartym obrazku nielepsze „ambulatoryum“: szczepienie cholery. A najpoufniejsze tajemnice żołnierskie — zdradza obrazek ostatni: polowanie na owady, nieznośne, uparte, co nie chcą iść do pola. — „Bo ile jesce nie odkarmiłek!“ — mówił najcierpliwszy myśliwy, ten na pierwszym planie, co się nawet nie śmieje z tego kłopotu.



Komendant „żelaznej gwardyi“: Podpułkownik Henryk Minkiewicz w okopach.

Szeroka skala życia żołnierskiego: od grozy śmierci i chorób do tężyzny wytrzymałej i wesołych



Podhalanie w Legionach: Ustawianie armatki, zwanej „kozą“.



Legiony w polu: Sztab pierwszej brygady w Lubelskiem.



Podhalanie w Legionach: Naprawa garderoby.

zabiegów o zdrowie, które upiększa i najtwardszą dolę. Oto, co mówią te obrazki. *D.*

Komendant „żelaznej gwardyi".

Komendant „żelaznej gwardyi" — to pułkownik Henryk Minkiewicz, komendant sławnej zakopiańskiej pierwszej kompanii trzeciego pułku, a obecnie szef całego pułku. Wódz jakby z powstańczych wzięty obozów. Pod namiotem w polu, albo i bez namiotu pod gołem niebem w dniach walki śpi, gdy noc przyjdzie spoczynek krótki niosąca, w pozycyjnej walce ziemną jaskinię za mieszkanie ma na równi z żołnierzami.

W drugiej brygadzie w trzecim pułku służy od początku, od października służbę swą wojenną zaczyna. Przedtem był komendantem Skalnego Podhala, a przedtem jeszcze od lat toczył z caratem bój rewolucyjny. I zostało mu z tych czasów coś z rewolucyonisty polskiego, i coś z jastrzębia nad skalne wzlatującego pola... Przyszły zaś nadto zdolności wodza z urodzenia — i dlatego na czoło pułku się wybił.

Co zrobił — w artykuł krótki trudno zamknąć. Wystarczy wspomnieć — giest jeden, czyn nad pochwały: między Pniowem a Pasieczną bój, kiedy to w dwa plutony, w stu kilkudziesięciu ludzi siedm razy większej przewadze, tysiącowi kozaków z dwoma armatami czoło stawia i... odpiera aż do przyjśc a siły głównej, przez cztery godziny.

A potem pod Rafajłową 24. stycznia, w noc pamiętną ataku rosyjskiego. Ze zbudzonym znagła żołnierzem nie tylko odpiera atak, ale kładzie moc trupów i bierze półtorej setki jeńców. Tak było w Rafajłowei, kiedy z porucznika został już kapitanem.

Później pod Maksymcem przyszła ofenzywa lutowa i walki przez wiele dni w strasznych ciemnościach. Przetrwał, marszem wszedł zwycięskim, a w marcu w Kołomyi, kiedy pułk trzeci reorganizuje, majorem zostaje, komendę pułku w mocne dłonie biorąc. Potem marsz na Bessarabię, majowa, na skrzydle armii Pflanzera, defenzywa bez strat znaczniejszych dla pułku, i znów czerwcowe znane walki, pod Rarańczą odparty atak nocny, setki wziętych jeńców... i znów walk pozycyjnych miesiące długie, w czasie których zostaje z majora podpułkownikiem i definitywnym komendantem pułku.

Takim jest podpułkownik Minkiewicz, jeden z tych, co to drugą brygadę, karpacką brygadę Legionów przez bój i znoje ku sławie powiedł.

Z teatru ludowego.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobiznę p. Maryi Olskiej, która ku wielkiemu zadowoleniu miłośników sceny została pozyskana na stałe dla krakowskiego teatru ludowego.

Bujny talent p. Olskiej, byłej artystki teatru krakowskiego i poznańskiego, jest tak wszechstronny, iż nie da się ująć w ramy jakiegoś specyalnego „emploi". Posiada ona bowiem w swoim repertuarze taką różnorodność skończonych kreacyi, jak niewiele utalentowanych artystek wykazać się może.

Nader szczęśliwe warunki zewnętrzne, inteligencya, niezwykła intuicya, przy umiejętnem zastosowaniu bogatego temperamentu scenicznego, czynią ją bardzo sympatycznem i niezwykłem zjawiskiem. Obecnie stała się pani Olska pierwszorzędną siłą teatru, na scenie którego wystąpiła dotychczas z ogromnem powodzeniem w „Pani Walewskiej" (Walewska), „Żołnierzu królowej Madagaskaru" (Kamila), „Urzędowej żonie" (Nieznajoma), a ujrzymy ją wkrótce w „Pani Sans-Gene".



Z teatru ludowego: Marya Olska.

Z dziedziny wojennych wynalazków.

Obecna wojna — to walka technicznych zdobyczy i wynalazków. To też wśród huku armat nie próżnują wynalazcy, pracując nad ulepszeniem w dziedzinie techniki wojennej. Wśród naszych wynalazców należy wspomnieć o inżynierze p. Arturze Bromowiczu, który wynalazł aparat do mierzenia wstrząśnień powietrza i objektów budowlanych. Aparat ten nazwał „Mikrometrem wstrząśnień B.". Wynalazek ten ma szerokie zastosowanie w technice wojennej, a mianowicie służy do obliczania odległości miejsca wydanych strzałów, następnie wykazuje daty statyczne przy wstrząśnieniu objektów budowlanych.

Prócz tego aparat ten wykazuje stopień wstrząśnień kamienic podczas ruchu kołowego na ulicach, oblicza na tej podstawie utratę spójności materyału budulcowego, słowem wykazuje dane, z któremi liczyć się trzeba będzie przy odbudowie zburzonych wsi i miast.



Z dziedziny wojennych wynalazków: Inżynier Artur Bromowicz, wynalazca „mikrometru wstrząśnień".





Walka z najgroźniejszym wrogiem. **Podhalanie w Legionach:** Szczepienie cholery.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

13

Spojrzenia te podchwyciła raz Luiza, znajdująca się przypadkowo w pokoju przyjaciółki i postanowiła ją przestrzedz.

Przy pomocy długiego, japońskiego sztyletu, znalezionego w pokoju przyjęć, oderwała zamek, wzbraniający jej wstępu do sypialni przyjaciółki i tym sposobem częściej do niej wieczorem zaglądać mogła.

— — — — — — — — — — — —

W przeddzień zabawy, mającej się odbyć w zakładzie pani Wiktoryi, Henryk de Kermor czuł się dziwnie podnieconym i nerwowym.

Wielkimi, niecierpliwymi krokami przebiegał obszerną i wielką galeryę pałacową, co chwilę spoglądając na zegarek, jak gdyby w oczekiwaniu kogoś.

Nareszcie cień jakiś zamajaczył na końcu galeryi.

— A, to ty, Delrue — rzekł Henryk — Wiesz, namyśliłem się. Wyjdziemy zaraz, bo obawiam się, że matka się zaniepokoi, widząc mnie wychodzącego w nocy.

— Jestem również tego samego zdania — odparł swobodnie Delrue — Zechciej więc szybko przebrać się.

W pięć minut później obydwaj wymykali się ostrożnie furtką, wiodącą z ogrodu na ulicę.

— Czy wiesz, co mi przypomina to wyjście? — zapytał Henryk ze smutkiem w głosie.

— Cóż takiego? Powiedz.

— Ten wieczór, spędzony w Tivoli-Hall i jego następstwa.

— Przyznać trzeba, Henryku, że uczyniliśmy wówczas wielkie głupstwo.

— Przyznaję, ale nie przeszkadza mi to próbować na nowo.

— Przepraszam cię, to jest zupełnie co innego. W tamten wieczór szedłeś na los szczęścia, za przypadkiem, pomimo oporu z mej strony, ale dzisiaj, to rzecz inna. Idziesz z całą świadomością i rozwagą do pewnego celu. Wiesz, gdzie i w jakich warunkach spotkasz Janinę, od ciebie tylko zależy widzieć, a właściwie chcieć widzieć.

— Przypominam ci jednak, Andrzeju, że nie życzę sobie wcale rozmawiać z nią. Chcę tylko zobaczyć i przekonać się, że jest tak, jak mówisz. Ta próba uspokoi mnie i bardzo zadowolni mnie, wierz mi. Czy to da się tak zrobić, jak sobie ułożyłem?

— Sądzę, że tak. Przecież to ma być bal maskowy, a ja mam w kieszeni dwie maski przygotowane. Przejdziemy niespostrzeżeni.

— I pewnym jesteś, że zastaniemy tam Janinę?

— Mój drogi — zaśmiał się ironicznie Delrue — postarałem się dobrze o to.

— To prawda! Zaciągam wielki dług wobec ciebie, Andrzeju, nie zdawałem sobie dotąd sprawy z życzliwości, jaką mi okazujesz.

— Nie mówmy o tem, bo nie masz mi nic do zawdzięczenia. Rzeczy takie zresztą nie opłacają się pieniędzmi. Ale przejrzyjmy teraz w krótkości sytuacyę, do zrealizowania której, przyznaję, dopomogłem szczerze. Ojciec twój, Henryku, jest wprawdzie uratowany, zmienił się nie do poznania. Spokój moralny i materyalny markizy jest zapewniony. A ty, mój drogi, zyskasz wkrótce wielki majątek, spłacisz długi i staniesz się posiadaczem najpiękniejszej z kobiet w Paryżu. Czy nie tak?

— Przyznaję, że nie oceniam może w zupełności szczęścia, jakie na mnie spływa, a które jest dziełem twojem, ale, co chcesz, nie mogę jeszcze zapomnieć o tamtem!

— Zapomnisz, gdy stracisz ostatnią illuzyę.

— Może, i znowu tobie to zawdzięczać będę.

— Wdzięczność twoja nie wystarcza mi — rzekł nagle Delrue — żądam nagrody.

Hrabia Henryk spojrzał na Andrzeja ze zdziwieniem.

— Jestem gotów uczynić dla ciebie wszystko, co zechcesz — odparł poważnie.

— Proszę cię tylko o zwolnienie mnie z moich obowiązków.

— Andrzeju, znów ta prośba?

— To jest konieczne! Po oddaniu pewnych przysług powinno się zniknąć, gdyż są tego rodzaju, że zabijają najszczerszą i najpoważniejszą przyjaźń.

— Mówiłeś mi to już, a ja ci odpowiedziałem, że zachowam mimo wszystko uznanie i życzliwość dla ciebie. Czegóż więc potrzeba ci jeszcze?

— Wolności.

— Dobrze. Zabezpieczymy twój los.

— Dziękuję. Należę do ludzi, którzy los swój sami tworzą. Mam jeszcze plany na przyszłość. Pewne zlecenie.

— Czy od barona de Bressien?

Twarz Andrzeja pokryła się nagłą bladością. Zapytanie Henryka obudziło w nim szalony niepokój. Nazwisko bankiera, rzucone tak nagle, zdradzało go. Przez mózg jego przebiegła szalona myśl, że Henryk wie o wszystkiem i gdyby tenże prosto mu teraz w oczy spojrzał, byłby wyczytał w oczach przyjaciela zdradę i podstęp.

— Co mówisz, Henryku? — zapytał po chwili z trudem.

— Może masz zlecenie od barona de Bressien? — powtórzył młody człowiek spokojnie — Ale, à propos, przypomniałem sobie w tej chwili, że obiecałem pannie Sydonii odwiedzić ją dzisiaj. Jak mogłem o tem zapomnieć?

— Możesz to jeszcze uczynić — odparł Delrue z ulgą, widząc, że rozmowa przechodzi na inne tory. Godzina nie jest jeszcze tak późna.

— Sądzisz?

— Ależ naturalnie, tylko nie trać ani chwili czasu.

Henryk skinął na przejeżdżającą dorożkę i pociągnął za sobą Andrzeja.

— Jedź ze mną. W towarzystwie twojem może będę mógł się prędzej uwolnić. Nie chciałbym, żeby mnie zatrzymali na obiedzie.

Sydonia oczekiwała narzeczonego z gorączkową niecierpliwością. Na widok jego twarz jej zabłysła nieukrywaną radością i żywo poskoczyła do dzwonka. Wszedł służący.

— Dodać natychmiast jedno nakrycie do stołu — rozkazała, poczem z uśmiechem zwróciła się do młodego hrabiego. — Nareszcie, doczekałam się pana — zawołała z wymówką w głosie. — Ale to nakrycie dodane, to nie dla pana! To dla pana Andrzeja Delrue, bo twoje, niewdzięczniku, zawsze cię oczekuje, ale napróżno! Zaniedbujesz mnie już przed ślubem!

— Mam nadzieję, że się poprawisz, niedobry chłopcze — zawołał baron wchodząc ze swojego gabinetu — inaczej ze mną będziesz miał do czynienia.

W tej chwili wszedł służący, oznajmiając, że obiad podany.

— A teraz może zechcesz podać ramię swojej narzeczonej, panie hrabio — zaśmiał się ironicznie bankier, patrząc złośliwie na pomieszanego Henryka — Ja zaś poprowadzę do stołu pana Delrue.

Ujął Andrzeja pod rękę i, odciągając go cokolwiek na stronę, zapytał cicho:

— Czy on tam będzie dziś wieczór?

Delrue nieznacznie skinął głową. W tej samej chwili Sydonia zwróciła się do nich i widocznie przeczuć musiała zapytanie ojca, gdyż przez twarz jej przebiegł skurcz nerwowy, a oczy zabłysły wściekłością tajoną.

— Chodźmy, panie hrabio — rzuciła zimno, pociągając Henryka do stołowego pokoju.

— Słuchajno, Delrue — szepnął bankier idąc za nimi — musimy raz na zawsze być zabezpieczeni, przed temi nieprzyjemnościami. Ta historya z tą głupią dziewczyną na dobre mnie już nudzić zaczyna.

— W takim razie musimy podwoić starania w tym kierunku — odpowiedział Delrue — pan baron mnie rozumie?

— Aż nadto dobrze. Ale już pomówimy o tem w innym czasie.

Sydonia była dowcipna, a baron dosyć przyjemny w rozmowie, kiedy był w dobrym humorze; dzięki więc temu obiad był wesoły. Henryk, podniecony, zdawał się na chwilę zapominać o swoim smutku, lecz Sydonia, mimo wszystko, pamiętała o ciągle grożącem jej niebezpieczeństwie ze strony znienawidzonej rywalki.

— Panie Henryku — zapytała na pozór spokojnie, gdy służba podała już czarną kawę i likiery — czy lubi pan muzykę Wagnera?

— Zależy od usposobienia — odparł wymijająco młody człowiek.

— Jakże to? Nie rozumiem pana.

— Bo, widzi pani, nie zawsze ją dobrze rozumiem. Czasami zdarzało mi się, że ziewałem w najlepsze, słuchając jakiejś ciężkiej symfonii.

— Tem gorzej dla pana, bo będziesz dzisiaj ziewał w towarzystwie ojca i pana Delrue. Zabieram was wszystkich do opery do mojej loży. Grają dziś na złość panu Tannhäusera.

— Niech i tak będzie. Będę się patrzał na panią i może wyjątkowo ziewać nie będę.

— Doskonale. W każdym razie jest w głębi loży miejsce, gdzie będzie się pan czuł zupełnie swobodny.

Delrue, słysząc tę rozmowę, zaniepokoił się.

Czyżby Sydonia rozmyślnie, powodując się nagłym kaprysem, chciała przeszkodzić nocnej wycieczce Henryka?

Nie mogąc się z nią rozmówić, rzucił jej błagalne spojrzenie, lecz bankierówna zdawała się tego nie spostrzedz. Była w obecnej chwili tylko kobietą, kobietą zazdrosną do ostatnich granic i gotową na wszelkie szaleństwa!

Hrabia de Kermor zaś poddawał się nastrojowi, aby tylko zagłuszyć dręczące go myśli.

— Może byłoby wskazanem zawiadomić markizę o późnym twoim powrocie — zawołał Delrue, kiedy Sydonia wyszła, aby zmienić tualetę — Gotów jestem sam udać się do pałacu.

— Niech się pan nie trudzi — zawołał bankier, powstając — w tej chwili zatelefonuję do pani markizy.

Delrue i Henryk pozostali sami.

— Zdaje się, że nie uwolnimy się przed północą — rzekł niecierpliwie młody hrabia.

— To ostatni możliwy termin — odparł Delrue — Powóz doktora będzie na nas oczekiwał. Byleby nas tylko twoja narzeczona dłużej nie zatrzymywała.

W pół godziny później, Delrue i Henryk, w towarzystwie tryumfującego bankiera i błyszczącej urodą Sydonii, zasiedli w loży opery.

Teatr był przepełniony doborową publicznością.

Bankier, uszczęśliwiony, biegał po korytarzach i łożach, oznajmiając znajomym o mającym w krótkim czasie nastąpić ślubie córki swojej z młodym hrabią de Kermor.

— Ślub za dwa tygodnie — mówił z dumą w głosie — data już oznaczona. Przy kontrakcie ślubnym, notaryusz wręczy mojej córce okrągłych sto tysięcy milionów!... Ładny posag, co? Dzięki Bogu, hrabia de Kermor nie żeni się z biedną dziewczyną.

Akcye banku de Bressien w mgnieniu oka poszły w górę. Nowa sensacya oczekiwała znajomych bankiera, po trzecim akcie. Na chwilę przed podniesieniem kurtyny do loży pana de Bressien wszedł stary markiz de Kermor.

Wszystkie lornetki zwróciły się w tę stronę. Stary magnat, wytworny król wyższych salonów, zawsze elegancki i popularny — w loży dorobkiewicza!...

Publiczność z ciekawością nietajoną śledziła każdy ruch, każdy uśmiech osób, znajdujących się w loży.

Pochylając nizko siwą głowę, markiz ucałował z wdziękiem mu wrodzonym ubrylantowaną dłoń przyszłej synowej, poczem oparł się na ramieniu syna.

Bankierówna jaśniała zadowoleniem z odniesionego zwycięstwa. Wszystkie jej najgorętsze marzenia i ambicye spełniły się. Dumnym wzrokiem objęła salę i tryumfujący uśmiech przebiegł po jej twarzy.

Wszystkie niepokojące ją dotąd niemiłe myśli odbiegły ją, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Nawet zazdrość, nurtująca ją dotąd, pierzchła od niej, bo teraz cóż więcej pragnąć mogła. Stary markiz de Kermor i syn jego, ubiegali się o jej względy i hołd jej pokorny składali, tu, w obecności całego Paryża! A Sydonii tylko na tem najwięcej zależało.

Markiz de Kermor, otrzymawszy od bankiera zawiadomienie telefoniczne, że udaje się z córką i hrabią Henrykiem do opery, po porozumieniu się z żoną, udał się tam, chcąc ostatecznie wybadać nastrój syna. Teraz obserwował go z boku, w milczeniu.

— Zdaje się, że jest bardzo nią zajęty — myślał — ale bo też dyabelnie dziś dobrze wygląda ta milionerka. Dzięki Bogu, że się przekonał do niej.

Andrzej Delrue trwał w ciągle rosnącym niepokoju. Obawiał się, że markiz po teatrze zabierze Henryka ze sobą ze względu na późną godzinę i osłabienie rekonwalescenta. Byłby z ochotą wyrzucił markiza z loży, bo krzyżował mu plany, z takim trudem i nakładem przebiegłości przeprowadzone.

Ale Andrzej mylił się. Markiz miał za wiele taktu, aby krępować syna i to w chwili, kiedy nareszcie szedł zgodnie z jego zamysłami.

Przy końcu aktu pożegnał się i wyszedł z loży.

Andrzej Delrue odetchnął z ulgą. Nie licząc się już z konwenansami towarzyskimi, wyciągnął zegarek z kieszeni i zręcznie podsunął go pod oczy Sydonii.

— Trzeba już wyjść stąd. Pora nadeszła — szepnął ledwie dosłyszalnie.

I wówczas Sydonia, nagle pokrywając lekkie ziewanie, oznajmiła narzeczonemu, że muzyka Wagnera zaczyna ją nużyć.

— Przyznaję, że mam już dosyć tego — rzekła, powstając. — Pożegnam panów i wracam do siebie. Jutro zaś — dodała patrząc na Andrzeja Delrue, który zadrżał z radości powstrzymanej — oczekuję pana w porannej godzinie.

Czarny dyabełek.

Henryk de Kermor i Andrzej Delrue znaleźli się sami przed wejściem do opery. W dali błyszczało światło oddalającego się automobilu barona de Bressien.

— Chodźmy już — wyrzekł Henryk wzruszonym głosem.

Sztuczna jego wesołość i podniecenie zniknęło zupełnie, na twarzy wybił się dawny niepokój i przygnębienie, a w oczach nagle przygaszonych czaił się smutek tłumiony.

Noc była ciemna, dżdżysta, otulona w mgłę ciężką i gęstą. Nawet dzielnica Opery, rzęsiście oświetlona światłem wielkich latarni, wyglądała tego wieczora dziwnie ponuro i smutno.

— To o dwa kroki stąd — zauważył Delrue, widząc, że Henryk chce zatrzymać przejeżdżającą dorożkę. — Nie potrzebujemy się tak spieszyć

Delrue starał się mówić spokojnie, lecz głos jego drżał nerwowo. Widząc jednak, że towarzysz jego niemniej od niego jest wzruszony, zapanował wkrótce nad sobą.

— Co za mgła gęsta — wyrzekł po chwili Henryk, podnosząc kołnierz od palta — Mam wrażenie, że mnie coś złego dziś spotka — dodał cicho.

— Rzeczywiście, czas taki może źle usposobić — odparł swobodnie Delrue — dla takich wrażliwych natur, jak ty, mój drogi, pożądane jest koniecznie gorące niebo południa i towarzystwo miłej i wesołej żony.

Popatrzył badawczo w twarz młodego człowieka, śledząc wrażenie swoich słów i mówił dalej, siląc się na ton wesoły.

— Bądź cierpliwy, Henryku, za dwa lub trzy tygodnie będziesz tam, przy boku uroczej hrabiny de Kermor.

Henryk wstrząsnął się niecierpliwie, jak gdyby odpędzając od siebie kiełkujący jeszcze na dnie duszy ostatni poryw buntu.

— Tak, to możliwe — odpowiedział niechętnie.

Znajdowali się naprzeciw dworca Sw. Łazarza. Skręcili na prawo, kierując się w stronę pasażu.

— Zatrzymajmy się na chwilę — rzekł Delrue — Musimy dobrze się porozumieć, bo nie chcę, żeby mnie z twojej strony spotkała jaka niespodzianka. Obiecujesz mi raz jeszcze zachować zimną krew, cobądź byś słyszał i widział?

— Będę zwyczajnym widzem tylko... — odparł Henryk.

— Bo, gdybyś się uniósł i wywołał jaką awanturę, na mnie tylko spadnie odpowiedzialność, pamiętaj o tem!

— Nie nudź mnie już. Obiecałem ci, że się zachowam spokojnie, więc nie masz o co się lękać.

— Ale ja znam twoje gwałtowne usposobienie. I powtarzam ci, nie chcę ponosić skutków twojego wybuchu. Doprowadziłoby to do tego, że musiałbym opuścić dom markiza, wyrzucony może, jak pierwszy lepszy fagas. A ja, wiesz dobrze, wypełniam tylko swój obowiązek, nic więcej.

— Masz moje słowo, czy to dosyć?

— Teraz ci wierzę. Nie jesteś przecież dzieckiem i rozumiesz, że tu chodzi tylko o pochwycenie rysu charakteru ludzkiego, poprostu studyum psychologiczne.

— Tak, tak, oczywiście! Chodzi mi tylko o to. Ale kończmy już to, bo drżę cały z niecierpliwości.

— To bardzo źle. Podniecenie nerwów osłabia funkcye rozumu i prowadzi do szaleństwa. Powiedziałem zacnej pani Wiktoryi, że jesteś cudzoziemcem, dyplomatą i nie chciałbyś być poznanym. Będziemy mieli salonik zarezerwowany przy głównej sali, do którego nikt obcy nie wejdzie. Będziesz wszystko widział, nie będąc widzianym.

— Doskonale. Idźmy prędko; pragnę, żeby się to jak najprędzej skończyło.

— Jesteśmy już na miejscu. To tutaj. Wejdź po tych schodach i nałóż maskę.

Brama, wiodąca na schody, rzęsiście oświetlona, była szeroko otwarta. Weszli po schodach, wyłożonych puszystym dywanem. Delrue przycisnął guzik od dzwonka elektrycznego i drzwi natychmiast się otworzyły dyskretnie. W przedpokoju panował półmrok.

— Dyplomata cudzoziemiec, pragnący tu przebyć chwilę incognito — szepnął Delrue do subretki, stojącej przy drzwiach, wsuwając jej do ręki złotą monetę.

— Dla Jego Ekscellencyi przygotowany jest osobny gabinet — szepnęła panna Amelia, grająca dziś rolę odźwiernej — Proszę tędy.

Henryk de Kermor i jego towarzysz weszli do małego pokoiku, bardzo skąpo oświetlonego, w którym znajdowała się tylko kanapka i kilka nizkich fotelików.

Zaledwie drzwi się zamknęły za panną Amelią, do pokoju weszła majestatycznie pani Wiktorya.

Wystrojona była stosownie do wieczoru, który miał jej przynieść dziesięć tysięcy franków czystego zysku. Korpulentne jej ramiona i piersi pokryte były koliami i broszkami olbrzymich rozmiarów.

— Panowie! — rzekła uroczyście, dygając głęboko — Witam was serdecznie w tym przybytku sztuki. Zechciejcie w towarzystwie mojem skosztować butelkę specyalnego, znakomitego wina, które umyślnie zarezerwowałam na wasze przyjęcie.

Banknot, wsunięty jej niecierpliwie do ręki przez Henryka, wstrzymał płynną wymowę damy. Spojrzała na młodego człowieka z gorącem uwielbieniem.

Banknotem tym w jednej chwili opłacone zostały koszta całego wieczoru, włączywszy w nie ślubną suknię księżniczki i różne drobiazgi toaletowe.

— Przybywa pan w samą porę — rzekła pani Wiktorya, uśmiechając się zachęcająco — Panna młoda już jest gotowa.

— Jaka panna młoda? — zapytał niespokojnie Henryk.

— Ależ Janka, nasze drogie, kochane dziecko, taka miła, wesoła, ulubienica nas wszystkich.

Uchyliła ciężką portyerę, zasłaniającą wejście do dalszych pokojów i zawołała z zachwytem:

— Oh! Niech pan patrzy! Jak się wszyscy niecierpliwią, jak gorąco pragną jej widoku!

Henryk spojrzał i wstrząsnął się z obrzydzenia. W wielkiej, wspaniale udekorowanej sali roił się tłum dziwaczny, różnorodny, przybrany, jak na maskaradę. Panowie w kolorowych frakach, kamizelkach egzotycznych i jaskrawych, panie w oryginalnych przebraniach i kostyumach.

Mały, czarny dyabełek w rubinowem dominie bił zawzięcie w klawisze rozstrojonego fortepianu, śledząc uważnie osoby, znajdujące się w obramieniu rozchylonej portyery.

Nagle drgnął i zgubił takt rozpoczętej polki. Oczy jego pod rubinowem dominem zabłysły gorączkowo i utonęły uporczywie w masce jednego z mężczyzn.

— Zabawa rozpoczęła się już w południe. Przy śniadaniu wypiliśmy dosyć szampana i narzeczona naszego kochanego doktora musiała pójść spocząć na chwilę. Ale trochę cierpliwości, moi panowie, zaraz ją ujrzycie. Ubiera się już, gdyż za kilka minut opuszcza nas w towarzystwie małżonka — Mówiąc to, pani Wiktorya oddaliła się spiesznie.

— Delrue! Czy jesteś pewnym, że to ona? że ona tu zaraz nadejdzie? — zapytał z drżeniem w głosie Henryk de Kermor — Mój Boże! Wierzyć mi się nie chce! Może to sen, złudzenie.

— Ani jedno, ani drugie, mój drogi. Za chwilę będziesz świadkiem jej tryumfu.

— Jesteś okrutnym, Andrzeju. Tryumfu! Powiedz raczej upadku, upadku marzeń moich i nadziei.

Słowa te doszły do uszu Luizy, siedzącej przy fortepianie.

— Tak, to on! — szepnęła — poznałam go po spojrzeniu! A teraz wiem, że nosi imię Andrzeja!

Odeszła od fortepianu, niezauważona przez nikogo i wmieszała się w rozbawiony tłum.

— Muszę jednak być zupełnie pewną, że to on rzeczywiście.

Ostrożnie uchyliła drzwi małego saloniku, cichutko, na końcach palców podsunęła się do Andrzeja Delrue i nagłym ruchem zerwała maskę, kryjącą jego twarz.

Młody człowiek cofnął się z okrzykiem przerażenia. Z poza rubinowego domina patrzały na niego dwie roziskrzone, gniewne źrenice.

— Luiza! — szepnął, poznając ją po spojrzeniu.

W odpowiedzi czarny dyabełek zaśmiał się złośliwie i zniknął za portyerą.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zdziwiony tą sceną Henryk.

— Nic wielkiego! — odparł Delrue, uśmiechając się z przymusem — Jakaś ciekawa maseczka chce zawrzeć w ten sposób znajomość.

Obecność Luizy w tem miejscu i w tych warunkach zaniepokoiła go silnie.

Czyżby była w porozumieniu z panią Wiktoryą i doktorem Magnusem i zechce teraz zemścić się za nagłe opuszczenie?

W sali tymczasem wznosiły się frenetyczne okrzyki:

— Panna młoda! Panna młoda! Chcemy widzieć pannę młodą!

Ukazała się znowu pani Wiktorya, oznajmiając smutnie:

— Oto „clou“ całego wieczoru, tak upragnione i oczekiwane, spełzło na niczem. Miało niem być pożegnanie nowo zaślubionej doktorowej z towarzyszkami.

— Ah! — rzekł Henryk niecierpliwie — Więc nie przyjdzie? Nie pokaże się nam? Dlaczego?

— Trafia się to najporządniejszym ludziom — tłumaczyła pani Wiktorya — szczególniej w takim dniu.

— Ale cóż to jest? Co się stało? — dopytywał się skwapliwie Delrue.

— Stało się, że panna młoda ustać na nogach nie może. Dostała nagle nerwowego ataku. Może panowie chcecie ją zobaczyć?

— Zapewne, ale dyskretnie — odparł spierznie Delrue.

— Zrozumiałam — wyrzekła z powagą pani Wiktorya — Ale cóż to? — zawołała zdziwiona — pan zdjął maskę, panie Delrue?

— Któraś z maseczek pani ukradła mi ją — odpowiedział z uśmiechem zapytany — Ten czarny dyabełek, który grał na fortepianie.

— Co? — zaniepokoiła się pani Wiktorya — Powiadasz pan, że to mój dyabełek czarny spłatał panu takiego figla? To ciekawe! Uczyniła zapewne to z żartów. -

— Ja też w ten sposób to przyjąłem. Ale przyzna pani, że tego nie było w naszej umowie. Przybyliśmy tu pod warunkiem, że nie będziemy widziani.

— Nie mogę wyjść z podziwu, że to uczyniła Luiza — tłumaczyła się pani Wiktorya, zmieszana słowami Andrzeja Delrue.

— Luiza? Ona napewno nazywa się Luiza? — zapytał niespokojnie Delrue.

— Tak jest, Luiza, ładne imię!

— To imię, a nazwisko?

— Niema nazwiska, mój drogi panie. Ale skoro pan taki ciekawy, to może pan spojrzy przez te drzwi, to, co pan zobaczy, zainteresuje pana napewno i pana także, panie hrabio.

Henryk posunął się skwapliwie ku drzwiom, Delrue zaś pospieszył za nim, żeby go powstrzymać lub też może ukryć się za nim, jeżeliby tego zaszła potrzeba, a pani Wiktorya majestatycznym krokiem podążyła do sali. Już teraz nic ją nie obchodziło, nie chciała wiedzieć o niczem.

Deus ex machina.

Pani Wiktorya mogła nie chcieć wiedzieć o niczem, ale Luiza de Rieux innego była zdania.

Odkąd poznała w zamaskowanym człowieku dawnego swojego przyjaciela, Andrzeja Delrue, dziwny niepokój i gniew ogarnął całą jej istotę. W chwili tej zrozumiała jasno, jak nigdy przedtem, że jedynie ten człowiek był sprawcą nieszczęścia całego jej życia, zmarnowanej przeszłości i hańby, jaką rzuciła na nieskalane dotąd nazwisko starego ojca. Pod wpływem tego wrażenia pobiegła do swego pokoiku, gdzie w parokryzmie nieobliczalnego żalu i wściekłości podeptała nogami porwaną maskę, pocem pochwyciła cienki, wyostrzony sztylet japoński, wiszący zawsze nad jej łóżkiem. Dotknięcie jego zimnej, błyszczącej rękojeści przejęło ją dreszczem rozkosznym, ale oto nagle z tego odurzenia wyrwał ją przeraźliwy krzyk Janiny, wzywający ratunku.

Nie namyślając się skoczyła do drzwi ze sztyletem w ręku, szarpnęła niecierpliwie zamek i zauważyła, że ktoś z pod drzwi szybko uciekał.

— — — — — — — — — — —

Gdyby Henryk de Kermor pozostał był tu jeszcze chwil kilka, minutę... byłby uniknął wielkiej boleści i rozpaczy... Ale pod wrażeniem tego, co ujrzał, oszalały z bolu i wstydu uciekł pomimo nawoływań Andrzeja Delrue, który szedł wszędzie za nim, jak duch zniszczenia i zła.

Na schodach o mało nie przewrócili dwóch poważnych mężczyzn w uniformach rządowych, nie słysząc wygłoszonego przez nich rozkazu:

— W imieniu prawa proszę się zatrzymać!

Przebiegli jak huragan około nich i wypadli na ulicę.

Przebiegły plan Andrzeja Delrue pożądane odniósł owoce, niespodziewane nawet, bo nie mógł on przypuszczać ani na chwilę, że mógłby dać się złowić w własne zastawione sidła.

Ci dwaj panowie, spotkani na schodach, byli komisarzami policyi, którzy w asyście inspektorów i władz dostali rozkaz uczynienia w mieszkaniu pana Colin Megret obławy nocnej. Stało się to za interwencyą Andrzeja Delrue, której skutków jednak dokładnie nie obliczył.

Jeszcze przed dwoma tygodniami, chcąc się pomścić na starym lichwiarzu, który wydał go w ręce barona de Bressien na mocy owego nieszczęsnego świstka papieru, na którym figurowało jego nazwisko, Delrue raz jeszcze chwycił się umiejętności swojej w podrabianiu pisma i wystosował list bezimienny do dyrekcyi policyi, zwracając jej uwagę na tajemniczość operacyi finansowych obojga małżonków Colin-Megret.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wymiana inwalidów: Szwedzkie pielęgniarki z oficerami austryackimi



Dziwo natury: Skała „Czarownica" w Ciężkowicach pod Tarnowem.



Wymiana inwalidów: Przyjście pierwszego parowca z jeńcami ciężko rannymi do Sassnitz.

Kronika tygodniowa.

Bieżący tydzień, jako pierwszy w czwartym kwartale, (należy odnowić prenumeratę!... przy. zecera), rozpocząłem, jak na porządnego obywatela przystoi, przeprowadzką. Z dotychczasowym mym gospodarzem nie mogłem się w żaden sposób pogodzić na punkcie czynszu. Nie chciał zrozumieć, choć mu tłumaczyłem na rozum, że teraz ciężkie czasy i żądał koniecznie, bym płacił i to z góry, ja zaś byłem tego zdania, że lepiej późno, niż nigdy i stąd kontrowersya.

A ile się przytem nanarzekał na opłakany los kamieniczników! Powtórzył mniej więcej to samo, co powiedział potem referent na walnem zgromadzeniu właścicieli realności. Kwintesencya tego zaś taka, że każdy jegomość, obciążony dziedzicznie kamienicą, umęczon jest za winy niepopełnione przez magistrat, urząd podatkowy i lokatorów i jako taki powinien już za życia zaliczonym być w poczet świętych, zwłaszcza, że, jak przekonałem się z ksiąg kościelnych, dotąd nie było jeszcze ani jednego świętego kamienicznika, wielu natomiast smaży się w ogniu piekielnym za dokuczanie lokatorom i podnoszenie czynszu „co najwyżej“ raz na kwartał.

Tak to już stało się ich drugą naturą, iż w ubiegłym roku oddano jednego z nich pod kuratelę, a następnie umieszczono w domu zdrowia dla chorych umysłowo, ponieważ poważył się zniżyć czynsze lokatorom, co, wedle zdania jego kolegów, było najlepszym dowodem, że nie jest u niego w głowie wszystko w należytym porządku.

Niniejszą kronikę piszę już na nowem mieszkaniu. Obecny gospodarz jest, jak dotąd przynajmniej, bardzo ze mnie zadowolony, obiecałem bowiem, że czynsz będę płacić regularnie, a słyszał już od kilku mych przyjaciół, że ja „tylko wyjątkowo“ słowa nie dotrzymuję.

Tyle wstępu, teraz przystępujmy do porządku dziennego.

Na pierwszem miejscu znaleźć się musi naturalnie sprawa tytoniowa, od pierwszego bowiem października podrożały i to grubo wszystkie gatunki tytoniu cienko i nie cienko krajanego, wobec czego wielu obywateli musiało sobie odmówić nikotynowych przyjemności, albo je co najwyżej ograniczyć.

Nie martwcie się jednak, przezacni Czytelnicy! Skoro wszystko idzie w górę, podrożeją też w najbliższym czasie i dzienniki, zwłaszcza, że papier i farba drukarska kosztują dziś już dwa razy tyle, co za dawnych, lepszych czasów. I członkowie redakcyi upominają się także o podwyżkę, bo „papu“ i „trutru“ coraz droższe, od jedzenia zaś i picia trudno się odzwyczaić. Ja sam, nie chwaląc się, straciłem w przeciągu roku coś około piętnastu kilogramów żywej wagi, co, obliczając wedle najnowszej taryfy maksymalnej, wyniesie około siedmdziesiąt pięć koron w gotówce.

O tyle jestem teraz mniej wartający, choć muszę się przyznać, że sam nie wiem, czy to było mięso pierwszej, drugiej, czy też może trzeciej jakości i czy z części przedniej, czy tylnej, bo na każdy gatunek wyznaczono inną cenę.

Aby więc wrócić do dawnej wagi i objętości, muszę się lepiej odżywiać, a na to znów nie pozwalają moje zasoby pieniężne, których wcale nie posiadam i, z ręką na sercu, mogę o sobie powiedzieć, że dotąd żyłem z procentów od swych długów, a teraz, z powodu przedłużenia moratoryum nowych robić nie mogę i to mnie najbardziej boli.

O ile więc spełniły się moje przepowiednie naprzykład co do podrożenia tytoniu, babiego lata i tak dalej, o tyle znów, wnioskując, z owej kury i adwokata, co do moratoryum pomyliłem się troszeczkę. Jak słychać, przedłużono je do końca bieżącego roku, a kto wie, czy potem nie nastąpi dalszy ciąg, chyba że wojna skończy się w dniu jedenastego listopada, jak wywróżył znowu jakiś kabalista.

Ale, kto się sparzył na gorącem, ten i na zimne dmucha, wobec czego ja już mu nie wierzę, chyba, że się sam o tem przekonam na własne swe oczy, choć i one już czasami na starość zawodzą.

Onegdaj spotkał mnie właśnie z tego powodu bardzo niemiły przypadek, dzięki któremu do dziś chodzę zapuchnięty i opowiadam każdemu, że zrobił mi się wrzód na dziąśle.

Wchodzę do przedpokoju i pewny, iż mam przed sobą moją drogą Weronisię, całuję ją w sam dzióbek, jak na kochającego małżonka przystało. Baba w krzyk, po głosie (słuch mam jeszcze jaki taki...) poznałem, że to służąca, Kasia.

Na to wpada moja lepsza połowa i oryentując się rychło w sytuacyi, woła:

— Łotrze! Na zgorszenie pod mym dachem nie pozwolę!

O reszcie nie wspominam, niech ją sobie Czytelnik sam w swej duszy dośpiewa. Zonaci mnie chyba zrozumieją.

Skończyło się na tem, że, jak powiada pewien natchniony poeta:

„na łby swe kładłem szlafmyce
i lazłem w pierzyny do łożnice“.

Potem zaś, znów słowa tego samego wieszcza:

„lizałem się z ran“

ale nie wichry do snu mnie kołysały, ale gderanie małżonki, która miała materyał do czterogodzinnego wykładu na temat moralności. Gdybym umiał stenografować, byłbym to spisał i podał Akademii Umiejętności celem umieszczenia w jej rocznikach.

Ja sobie tam niewiele z tego ostatecznie robiłem, bo należę do ludzi, o których mówi znów tenżesam poeta:

„Starlim smoczych siedem łbów,
Nie trwożym się wrażych zmów,
Ni krwią ociekłych kłów!
Ni podminowanych raf,
Ni wyjątkowych praw,
Ni torturowych łóż!...“

Dajmy temu jednak spokój, a wracajmy do właściwej materyi.

W poprzedniej kronice wspomniałem o owych panach, co to w różnych publicznych lokalach zasięgają gratisowej porady prawnej u adwokatów, dziś dodam, że na to samo narzekają i lekarze. Jeden z nich, kolega mój ze szkolnej ławy, na której nam wbijano ongiś tajniki wiedzy ścisłej i nieścisłej, prosił mnie, bym to publicznie napiętnował.

— Bo, proszę cię, mój drogi kolego — tak mówił — wszak my nie jesteśmy gorsi od mecenasów. Skoro pisałeś o nich, weź i nas w swą przemożną opiekę...

Przy tej sposobności opowiedział mi, jak to niedawno spotkał się w cukierni z pewną znajomą niewiastą.

— Ach! Jak to dobrze, że spotkałam kochanego konsyliarza... — zawołała z radością — Wybierałam się do pana!

— Czem mógłbym służyć? — zapytał.

— Dobrodzieju! Zrobił mi się wrzód... Boję się, czy to nie czarna krosta...

— A w którem miejscu?

— Jakby to powiedzieć?... Hm! Nalepiej, chodźmy do drugiego pokoju, to panu pokażę... Nie mogę chodzić, leżeć, a zwłaszcza siedzieć!...

— To niech się pani powiesi! — powiedział w duchu i dodał głośno — Proszę w aptece kupić sobie kawałek plastra dyachylowego...

Zaledwie jej się pozbył, wpada nań pewien agraryusz z okolicy i ściska kordyalnie, aż żebra trzasły.

— Łaskawco! Kaszlę, jak koń dychawiczny... Co robić?

Tego było mu już zawiele, rzekł więc ze złością:

— Nie jestem weterynarzem, na końskich dolegliwościach się nie znam!... Pij pan jednak gorzką wodę, to panu dobrze zrobi...

To mi się spodobało, pytam więc:

— No i pomogło mu?

— Naturalnie! — odparł. — Nie kaszle już, bo się boi...

Zrozumiałem i skoro tylko moja Weronisia zacznie narzekać na tego rodzaju przypadłości, zaaplikuję jej to samo.

Sądzę, że kolega mój powinien być ze mnie zadowolony, uczyniłem bowiem zadość jego woli, niech jednak będzie przekonany, że to się na nic nie przyda, bo i tak spotka na swej życiowej drodze jeszcze niejednego, który będzie żądał gratisowej porady.

— Wszak to kochanego doktorka nic nie kosztuje, choć mi da radę! — tak każdy mówi. — A ja mam do pana takie zaufanie...

Dalszym punktem porządku dziennego miało być babie lato, w które teraz dopiero wierzę, gdyż widziałem na własne oczy pajęczynę, lecz nie w domu, ale latającą na wolnem powietrzu, trzeba bowiem wiedzieć, że teraz robię częste wycieczki za miasto do znajomych obywateli pod pretekstem, że chcę od nich kupić ziemniaków na zimę.

Od każdego żądam próbek, a gdy tak obejdę ze stu, będę miał *gratis i franco* zapasy zimowe.

Skoro więc babie lato jest, jest i jesień, a po jesieni, jeśli nic nadzwyczajnego nie zajdzie, będzie i zima, jak już poprzednio wspominałem, tego roku podobno bardzo ostra. Tak przynajmniej zapewniają górale, a oni są meteorologami z urodzenia, choć na reumatyzm nie cierpią tak, jak, dajmy na to, ja, który obchodzę się całkiem dobrze bez barometru, mam go bowiem w kolanach.

Przedewszystkiem więc trzeba się zaopatrzyć we węgle, następnie zaś wykupić (o ile kto ma i może) futro lub zimowe palto, złożone w lombardzie na przechowanie. Także i o spiżarni warto pomyśleć, bo to zawsze człowiekowi cieplej, gdy ma żywot należycie „wyfutrowany“. Im zaś wcześniej kto się o zapasy postara, tem lepiej na tem wyjdzie, bowiem wszystko z dnia na dzień drożeje, a magistrat rozmyśla pono nad nowem wydaniem taryfy maksymalnej. Wystarczy powiedzieć, że za takie niewinne i potulne zwierzątko, jak za barana, trzeba teraz płacić około sześćdziesięciu koron.

Będziemy mieli także i karty chlebowe i to już w najbliższym czasie, tak przynajmniej donoszą pisma codzienne. Karta taka to z czasem będzie skarb prawdziwy, bez niej bowiem, choćbyś płakał, chleba nie dostaniesz ani mąki. I gotowe dojść do tego, że ktoś, żeniąc się z jakąś nadobną dzieweczką, będzie się przed znajomymi chwalił, iż zrobił dobrą partyę.

— A posag wziąłeś? — zapytuję.

— Naturalnie! — odpowie.

— Dużo?

— Kartę chlebową na cały miesiąc!...

Skoro już robimy w mące, warto wspomnieć o owym panu piekarzu, który stawał w ubiegłym tygodniu przed sądem, oskarżony o lichwę żywnościową. Zarzucano mu, że bułki wypiekane w jego piekarni nie mają przepisanej wagi. Okazało się jednak, iż jest niewinnym, jak nowonarodzone dziecko, a całą odpowiedzialność musiałby na siebie przyjąć jego praktykant, który, krając ciasto maszyną, należycie czegoś tam, czego jednak, nie wiem, nie przyciskał i stąd katastrofa.

Sąd przyjął tłumaczenie do wiadomości i uwolnił oskarżonego od winy i kary, panowie piekarze zaś cieszą się z tego, gdyż wiedzą już, jak się mają na przyszłość asekurować, jeśliby przypadkowo który z nich znalazł się kiedyś w podobnem położeniu.

Lepsze były to dawne czasy, kiedy to maszyną ciasta na bułki nie krajano, a pana piekarza, o ile wyroby jego nie miały przepisanej wagi, przybijano za ucho do drzwi własnego sklepu. Gdyby wróciły te zwyczaje, panowie piekarze chodziliby z pewnością bez uszu.

Chciałbym w kronice zawadzić i o politykę, nie wiem jednak, czy miejsca na to starczy. Na wszelki wypadek stwierdzam, że sytuacya wyjaśnia się na naszą korzyść i w krótkim już czasie cała Galicya wolną będzie od najazdu rosyjskiego. Pozostaną tylko jeńcy, którzy sobie chwalą pobyt u nas i dziękują Bogu i wiekiemu księciu Mikołajowi, iż ich tutaj przyprowadził.

Gdy ostatni Moskal przejdzie za słupy graniczne, radość w kraju będzie ogromna. Ja sam obiecuję, że dzień ten spędzę godnie, jak na „spragnionego“ obywatela przystało i już dziś odkładam na ten cel po kilkanaście centów codziennie, by mi przypadkowo w danej chwili monety nie brakło.

Na Bałkanie ogromne wrzenie, jeden drugiemu kiwa palcem w bucie, a każdy chciałby na wojnie zrobić jak najlepszy interes. Włochom się stanowczo nie wiedzie, pomimo płomiennych odezw pana Gabryela d'Annunzio. Są one zaś o tyle prawdziwie płomienne, o ile można niemi palić w piecu.

Osobą pana Gabryela zajmuje się pono świat cały, ogłoszono bowiem urzędownie, że jest on prawdziwym Włochem z pochodzenia, a nie żydem galicyjskim, nazwiska zaś drugiego używał tylko w celu utrzymania „incognito“ wobec wierzycieli.

Biedni ci literaci i artyści! Jak oni, choć laurowy wieniec zdobi ich skronie, muszą się borykać z garbatym losem... To mnie przynajmniej pociesza, że skoro cierpią tak sławni ludzie, mogę cierpieć i ja.

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył St. Ekier, Kraków.

Trzecia-druga w tem głowa,
By odgadnąć szaradę!
Aby Wam to ułatwić,
Tą podaję ti radę:
Niech *pierwszy* głów nie zlewa,
Bo wtedy się myśl psuje,
Drugie niechaj w pokoju
Absolutnie panuje.
A gdy wszystkie me rady
Mieć w pamięci będziecie,
Całość, miasto wspaniałe,
Bardzo szybko zgadniecie.

Kwadrat magiczny.
Ułożył Jan Putek, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy pionowy i poziomy utworzy nazwisko osobistości, ściśle związanej z polskimi Legionami.

```
                □
            —   □   —
        —   —   □   —   —
    —   —   —   □   —   —   —
□   □   □   □   □   □   □   □   □
    —   —   —   □   —   —   —
        —   —   □   —   —
            —   □   —
                □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2 Ptak. 3 Postać z Biblii. 4 Owoc. 5. Szukany wyraz. 6. Ryba. 7 Imię męskie 8. Część składowa głowy. 9. Samogłoska.

Szarada.
Ułożył St. Ekier, Kraków.

Pierwsze, to znana grecka litera,
Drugim zaś stolarz dziury naciera,
Trzecie przyimek, zna go Staś mały.
Całość miejscowość sławna z krwi, chwały.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Zuzia! Węgiel nad prąd.

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego powieściopisarza

```
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Pierwiastek. 2 Termin muzyczny 3. Tytuł wenecki. 4. Inaczej żywe srebro. 5 Imię żeńskie 6. Postać z Anhellego. 7. Stopa wiersza. 8. Przyrząd kuchenny. 9. Pierwiastek. 10. Kwiat. 11. Pierwiastek. 12. Krzew.

Równanie.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu imię i nazwisko polskiego pisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{3}+\frac{c}{2}=x.$$

$$\frac{d}{4}+\frac{e}{2}+\frac{f}{4}+\frac{g}{2}=y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Faza rozwoju żaby. b) Jaszczurka. c) Rodzaj kwarcu. d) Inaczej częstokół. e) Roślina lekarska. f) Inaczej kontrabandziści. g) Zarost.

Łamigłówka.
Ułożyli Wawrzuś i Polcia z Krakowa.

Uzupełnić podane wyrazy Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą moment z obecnej wojny.

```
O o
n e
s k
o – a
i – s
N - l
E – a
k – y
m – c
a — h
O – m
r — w
i a.
```

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bug, wdowa, las, trele.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Warnkowski.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

PLATO CYNI.

Z. L. WRĘGA.

AG. O MORN.

LEON ISTIGA

ER. AK. TORD.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Gamastona:* **Jak było?** Nowela.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 39.

Okienko:

```
E k r a n
k   a   e
r a n e k
a   e   a
n e k a r
```

Rownanie:

Koza + Polska + **maska** = **Zapolska.**
Zagiel + **burza** + **Kasia** = **Żabusia.**

Logogryf:

```
    S
  E w a
Ś l i w a
m a t k a
d u k a t
  l i n
A t e n y
P a w e ł
A l i n a
  a c h
    E
```

Zadanie do przestawienia: Lepiej nie grzeszyć, niż pokutować.

Depesza: Bliższa koszula ciała, niż rodzony brat

Łamigłówka:

```
Iun
 aga
iwa
Nil
ale
ona
los
lis
Oka
mir
 jan
rów
Ewa.
```

Zadanie do przestawienia: Lubią go, jak psy dziada na ciasnej ulicy.

Bilety wizytowe: Dyurnista. Terminator. Prelegentka Plenipotent. Maszynista teatralny.

Trójkąt magiczny:

```
W i e r z b i c k i
I z r a e l i t a
E l ż b i e t a
R y w a l k a
Z e g a r y
B a r a n
I w a n
C a r
K u
I
```

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Artosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, J. Wojciechowski Rzeszów, Z. Bartmańska Gmunden, S. Milski Tarnów, H. Królicki Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Makowski, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Zupełnie autentyczne.

Pan Leon służył przed kilku laty jako jednoroczny ochotnik przy artyleryi i pewnego dnia stał na warcie obok armat, które na noc pozostawiono w polu. Nadchodzi inspekcya, pana Leona nie zastaje na posterunku, wobec czego cytuje go do raportu.

— Dlaczego jednoroczny opuścił swe stanowisko? — pyta kapitan.

— Melduję posłusznie, panie kapitanie — odpowiada Leoś — Ja byłem przekonany, że tam się zupełnie bezemnie obejdzie! Przecież, gdyby nadszedł jeden człowiek, to nie zabrałby armat, bo za ciężkie, gdyby zaś nadciągnęło ich więcaj, to i tak byłbym uciekł!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego